ARCHIWUM
Mirosława
Dereckiego

Mirosław Derecki
OPOWIEŚCI ZIMOWE

W zimowy wieczór spotkało się przy biesiadnym stole kilkunastu starszych panów. Wszyscy byli kiedyś uczestnikami drugiej wojny światowej. I chociaż walczyli na różnych frontach i w różnych formacjach, choć posiadali różne stopnie wojskowe, łączyło ich uczucie przyjaźni, które zatarło te dawne różnice.

Było to przyjęcie urodzinowe. Solenizant, z wykształcenia inżynier, podczas ośmioletniej wędrówki wojennej przemierzył szereg krajów, brał udział w wielu głośnych bitwach - z karabinem, ale także i z aparatem fotograficznym w dłoni. Tadeusz Szumański był bowiem wojennym fotoreporterem. Jednym z tych ludzi, którzy pod nieprzyjacielskim ogniem dokumentowali „na żywo" okiem kamery działania oddziałów i poszczególnych żołnierzy, ryzykując życiem nie mniej od innych, idących właśnie do ataku.

Po klęsce wrześniowej Tadeusz Szumański przekroczył wraz ze swym oddziałem granicę rumuńską. Wydostawszy się z obozu dla internowanych żołnierzy, przedarł się do Francji, gdzie wcielono go do 3 Dywizji Piechoty. Po zajęciu przez Niemców większości Bretanii (stacjonował tam jego szkolny batalion, złożony z elewów podchorążówek oraz szkół podoficerskich) przewędrował wraz z kilkoma kolegami na piechotę przez prawie pół Francji, aby następnie - przez Hiszpanię, Portugalię i Gibraltar - trafić do Wielkiej Brytanii. Z Anglii popłynął w wielkim wojskowym konwoju naokoło Afryki, na Bliski Wschód, wreszcie znalazł się w Iraku, w stacjonującej tam polskiej armii.

W 1944 r. w szeregach 2 Korpusu Polskiego wylądował w Italii. Służył w 2 Warszawskiej Brygadzie Pancernej, pełniąc obowiązki fotoreportera. Był pod Monte Cassino, szedł z czołgami na Ankonę i na Bolonię. Wykonał w tym czasie około trzynastu tysięcy zdjęć, których negatywy znajdują się dziś w większości w archiwum londyńskiego Instytutu im. gen. Sikorskiego.

Wiele z wojennych zdjęć Tadeusza Szumańskiego znanych jest szerokim rzeszom czytelników: weszły one m. in. w skład materiału ilustracyjnego książki Melchiora Wańkowicza - „Monte Cassino".

Po wojnie inż. Szumański wrócił do kraju i osiadł na stałe w Katowicach.

Starsi panowie szykowali się do spełnienia toastu na cześć solenizanta. I wtedy Tadeusz Szumański zaproponował, aby zamiast okolicznościowych przemówień każdy z uczestników tego wieczoru opowiedział jakiś fragment ze swoich wojennych przeżyć.

Żeby zaś dać przykład, sam zaczął pierwszą „zimową opowieść”:

U progu zimy 1940 r. pluton nasz skierowano do wsi Boarhils koło St. Andrews celem obrony odcinka morskiego w związku ze spodziewaną niemiecką inwazją na Wielką Brytanie. Służba była ciążka - krótkie dni a długie noce, przykry stały szkocki deszczyk i silne wichury znad Morza Północnego.

Nad morzem odbywały się stole lotnicze ćwiczebne strzelania do worka ciągnionego przez samolot. Pewnego dnia morze wyrzuciło na brzeg jeden z takich zestrzelonych worków. Był z pięknego czerwonego jedwabiu. Zastanawialiśmy się co z nim zrobić. O wówczas przyszło nam na myśl, że czerwony jedwab świetnie by się nadawał na płaszcz dla św. Mikołaja.

Pomysł zorganizowania św. Mikołaja dla miejscowych dzieci przyjęto z zapałem. Uszyte przez jednego z żołnierzy, krawca z zawodu, płaszcz i rogatywka, z „gronostajem” z waty, wypadły wspaniale. Podchorąży Ciesielski, najlepszy w tym czasie „Anglik”, porozumiał się z miejscową nauczycielką, wywiedział się, co trzeba, o każdym z miejscowych dzieci (a było tych dzieci w wieku od 5 do 10 lat akurat tyle, ilu nas w plutonie) i nastąpiło losowanie, kto jakiemu dziecku przygotuje prezenty. […] W rezultacie wszyscy się na długi czas zadłużyli, lecz impreza wypadła wspaniale.

Zaczęło się od filiżanki kakao z ciastkiem. Potem wszedł na salę św. Mikołaj z pękiem balonów, na których były wymalowane imiona dzieci, i do których przywiązano paczki z łakociami. Gdy zdawało się, że to już wszystko, przyniesiono kosze z zabawkami. Wrażenie było ogromne, Szkoci byli zaszokowani. Nie wiedzieli, jak się zrewanżować. Z początku chcieli cały nasz pluton zawieźć autobusami do Edynburga na przedstawienie baletowe. Ale… pluton nie mógł opuścić swoich stanowisk wojennych... Ostatecznie wyprawili nam bogate przyjęcie i sprowadzili szkocki zespół kobziarzy. Od tego momentu zadzierzgnęły się między nami serdeczne, przyjacielskie stosunki...

Minęło kilka lat. Znalazłem się późną jesienią 1944 r. wraz z moją 2 Brygadą Pancerną, wchodząca w skład 2 Korpusu, w północnych Apeninach. Oddziały rozlokowały się w górskich biednych wsiach. Nadciągała zima, a tu domy zrujnowane, najczęściej bez szyb w oknach, brak żywności. Słowem - nędza wyjątkowa wśród cywilnej ludności. Przemiłe włoskie „bambina” obdarte i zziębnięte, nie były tyko głodne, gdyż karmiły się z naszych żołnierskich kotłów.

Zbliżał się 6 grudnia. Do Polski, do naszych dzieci i w tym roku św. Mikołaj także nie przybędzie... Ale pomyślało wielu z nas - można by „w zastępstwie" zorganizować Mikołaja dla tych biednych dzieci włoskich…

Rzucaną myśl podjęły wszystkie jednostki 2 Brygady Pancernej z entuzjazmem. Ruszyły samochody do Fano, Arezzo, Florencji, a nawet do Rzymu - kupić, co się da... Rozwinęło się współzawodnictwo. Dowiadywano się, co który oddział zdobył. Żaden nie chciał być gorszy...

Z czekoladą i słodyczami nie było kłopotów, dostarczyła ich NAAFI. Gorzej z buciczkami, szalkami, rękawiczkami i całymi ubrankami, o które w tym czasie we Włoszech było bardzo trudno. Ale 6 grudnia 1944 roku na ryneczek każdej wioski wjechał czołg z biskupem św. Mikołajem. O szaty biskupie, infułę, pastorał i resztę wcale nie było trudno, jako że w prawie każdej większej wiosce we Włoszech bywa biskup. Św. Mikołaj miał zazwyczaj w asyście - aniołka. No, ale przede wszystkim w czołgu i na jego pancerzu widniały kosze i worki z podarkami...

Żadne dziecko nie zostało pominięte. Dla kilkuset przemiłych „bambinów" był to naprawdę radosny dzień. A żaden polski żołnierz, widząc ich żywiołową radość, nie żałował wydanych pieniędzy...

Opowieść Tadeusza Szumańskiego bardzo się podobała zabranym. Kiedy spełniono kolejny toast, głos zabrał pan Jerzy Wojciechowski. Jego wojenny życiorys różnił się bardzo od barwnej drogi bajowej solenizanta. Prawie całą wojnę spędził w jenieckim oflagu. Były to lata niezwykle ciężkie dla uwięzionych tam oficerów. Ale zdarzały się także jaśniejsze momenty, nie pozbawione nieraz komizmu. I te właśnie momenty pozwalały wielu ludziom przetrwać codzienną rzeczywistość.

Od dawna utarło się w naszym społeczeństwie przekonanie – rozpoczął pan Wojciechowski – o znakomitym zmyśle organizacyjnym Niemców, o ich dokładności i skrupulatności w wykonywaniu obowiązków. Jest w tym niewątpliwie dużo prawdy, ale jednocześnie trzeba przyznać rację tym, którzy twierdzą, że tak ważne w życiu społecznym cechy zawodzą w sytuacjach niezwykłych, zwłaszcza tam, gdzie trzeba operować wyobraźnią, a szczególnie gdy jednym wyjściem jest improwizacja i podejmowanie decyzji nie opartych o chłodny rachunek i przygotowanie. […] Jednym z przykładów przesadności mitu o niemieckiej skrupulatności niech będzie „historia drewnianego zegara", jaka miała miejsce w Oflagu II C.

Gdzieś w 1942 czy w 1943 roku kilku podchorążych zamkniętych w tym obozie, ludzi z dużym zmysłem majsterkowania, zdecydowało, że takie „miasteczko" jak nasz obóz, liczące blisko siedem tysięcy mieszkańców, powiano posiadać.. zegar uliczny. […] Ponieważ zegara

takiego Niemcy, oczywiście, nie dostarczyliby, więc należało zbudować go we własnym zakresie.

Pomyśleli, przedyskutowali rzecz całą i zabrali się do roboty. Ale, oczywiście, tak jak wiele innych rzeczy wykonanych w obozie, zegar ten musiał być trochę niezwykły.... Postanowiono, że będzie zbudowany wyłącznie z drewna, bez jakichkolwiek części metalowych.

I rzeczywiście: zegar taki zbudowano i ustawiano w centrum obozu, przy jego głównej ulicy.

Zegar był solidny, miał chyba dwa metry wysokości i był obudowany specjalną szafką. Dość duża tarcza zegarowa widoczna była ze znacznej odległości. […] Nie znam się na tym, więc nie potrafię opisać konstrukcji zegara oraz zasady, na jakiej działał, ale jest faktem, że chodził bardzo dobrze. […]

Po dłuższym okresie funkcjonowania zegara przyjechała pewnego razu do obozu ekipa kontrolna wysokich niemieckich władz zwierzchnich, bodajże z Berlina. Jej zadaniem było sprawdzenie gospodarki administracji obozowej. Zaczęło się dokładano wertowanie wszelkiego rodzaju ksiąg rachunkowych oraz dokumentów gospodarczych.

W trakcie kontroli natknięto się w rejestrze wydawanego węgla na pozycję: „na opalanie zegara - X kg węgla”. Za pierwszym razem pozycja ta jakoś uszła szczególniejszej uwadze kontrolera. Ale gdy po jakimś czasie powtórzyła się po raz drugi i trzeci, Niemców to zastanowiło. Zażądali od administracji obozu wyjaśnień. „Nasi” Niemcy z całym spokojem zaczęli tłumaczyć, że... jeńcy obudowali na placu zegary, który regularnie chodzi, a ponieważ jest to rzecz pożyteczna, więc trzeba go utrzymywać w ciągłym ruchu. Do tego zaś konieczne jest ogrzewanie zegara w miesiącach zimowych, aby smary nie zamarzły i mechanizm nie stanął. Kontrolerzy byli nie tyle zdumieni owymi wywodami, ile zainteresowani stroną techniczką całego „zagadnienia”. I czym prędzej kazali pokazać sobie owo niezwykłe „cudo”, Gdy podeszli do zegara i zaczęli go oglądać. Nie obeszło się bez pytania: gdzie i w jaki sposób działa ogrzewanie? Na to już, oczywiście, nie można było - ku przerażeniu „gospodarzy” - dać odpowiedzi. No, bo jak ogrzewać zegar nieposiadającą ani jednej części niepalnej?

Wybuchł skandal, gdyż nie można było znaleźć żadnego uzasadnienia dla wykazanego w księgach rozchodu opału. I tak oto węgiel, sprytnie „organizowany” przez naszych szeregowych pracujących w składzie opałowym, nie mógł być już odtąd sprzedawany przez nich do niedogrzanych wciąż baroków oficerskich. […]

Zegar, choć już „nie opalany”, chodził nadal. My zaś, mimo powrotu zimna do braków, mieliśmy znakomity powód do uciechy, że Niemcy tak dawali się nabierać naszym spryciarzom. I chcieli wyprać wojnę z takim przeciwnikiem!

- To są typowe chwile grozy i śmiechu, przeplatające się ze sobą w życiu żołnierza! - zauważył inny ze starszych panów zebranych przy stole. – Przypomina mi to niezwykłą historię, jakiej byłem świadkiem zimą 1946 r. we Włoszech. Głównymi jej bohaterami byli niedźwiedź oraz pewien młody polski żołnierz, który nie chciał dobrze obchodzić się ze zwierzętami:

Nie tylko w oddziałach 2 Korpusu, ale we wszystkich formacjach alianckich we Włoszech, ogromną popularnością cieszył się „Wojtek". Był to ogromny niedźwiedź, wychowany od małego w 22 Kompanii Zaopatrzenia Artylerii. Towarzyszył samochodom kompanii, stojąc na skrzyni wozu (gdyż w szoferce się nie mieścił) i oparty o budkę szofera rozglądał się ciekawie, wzbudzając sensację...

Gdy w czasie walk o Monte Cassino „Wojtek" pomagał żołnierzom wyładowywać pociski ciężkiej artylerii, a potem chłopcy na swych wozach (jako znak rozpoznawczy) wymalowali niedźwiedzia z pociskiem artyleryjskim w łapach, popularność „Wojtka z Monte Cassino" wzrosła jeszcze bardziej. Na każdym postoju otaczał go tłum gapiów, co zresztą bardzo lubił, gdyż od czasu do czasu fundował mu ktoś piwo. Siadał wówczas i z namaszczeniem trzymając butelkę obu łapami, wysączał ją do dna. Potem jeszcze jednym i drugim okiem zaglądał do butelki, czy przypadkiem coś nie zostało... Miał też i inną dziwną namiętność. Mianowicie bardzo lubił okurki papierosów. Całymi papierosami gardził, ale palący się okurek łykał z upodobaniem.

Opowiadali mi żołnierze z kompanii, jaką frajdę im kiedyś „Wojtek" zrób... Otóż któregoś dnia wieczorem obok ich namiotów rozbiła swoje namioty 12 Kompania Transportowa Pomocniczej Służby Kobiet. Rano skoro świt „Wojtek" wybrał się na inspekcję namiotów pań. Przerażone jego wizytą, z piskiem wyskakiwały z namiotów, tak jak spały. A że noc była upalna, nie miały nic albo niewiele na sobie. Chłopcy mieli wielką frajdę, a „Wojtek" tego dnia opił się piwem…

W końcu […] kompania przybyła do Neapolu celem załadowania się na okręt do Anglii. Rozlokowała się obok, portu, w transit-campie. „Wojtka", żeby nie rozrabiał, przywiązano łańcuchem do drzewa. Że zaś było gorąco (co z tego, że zima, ale w Italii), polewano go od czasu do czasu wodą, aż utworzyła się pod nim pokaźna błotnista kałuża... „Wojtka" otaczał międzynarodowy tłum gapiów, w którym byłem i ja. W tłumie stał również młody kapralik - wyprasowujący i wyelegantowany zapewne „na wypad" do Neapolu. Złośliwiec doskakiwał co pewien czas i zza drzewa szarpał „Wojtka" za kudły. Krzyczeliśmy: „Daj spokój „Wojtkowi!" Ale on po chwil ponownie podszedł do drzewa. I wówczas zobaczyłem, z jaką szybkością niedźwiedź potrafi się poruszać. Błyskawicznie skoczył za drzewo i … złapał kaprala wpół!

Zamarliśmy z przerażenia. Rozzłoszczony niedźwiedź mógł na naszych oczach skręcić kark kapralikowi […]. Tymczasem „Wojtek” przyciągnął kaprala do siebie. Ten - blady jak ściana - nie próbował się wyrywać. Niedźwiedź przygląda mu się przez chwilę, jakby się namyślając, co z nim zrobić. W końcu położył go do bajora i… zaczął tarzać. Tarzał dokładnie, jakby uważając, żeby nic na kapralu nie zostało suche.

Widok był bardzo zabawny, ale nie mogliśmy się śmiać, gdyż nie wiadomo było, jak to się skończy. Dopiero, gdy nadbiegł Piotr, żołnierz, który stale opiekował się „Wojtkiem”, i odciągnął niedźwiedzia, zaś kapralik wyskoczył z bajora jak z ukropu - ryknęliśmy śmiechem. Śmialiśmy się do łez. „Wojtek” dostał w nagrodę parę piw, a kapralik musiał pójść, jak stał, pod prysznic i z „wypadu” do Neapolu w tym dniu nic nie wyszło.

- Mnie w czasie mojej „zimowej przygody” wcale nie było do śmiechu - powiedział w zamyśleniu siedzący po drugiej stronie stołu pan Leon Marszałek, uczestnik Powstania Warszawskiego. Udało mu się po kapitulacji powstańczych oddziałów uciec z jenieckiego transportu jadącego w stroną Niemiec. Zamelinował się u kolegi z konspiracji, który mieszkał teraz w Częstochowie. Ale przemyśliwał wciąż o dotarciu do matki zamieszkałej w Będzinie, znajdującym się wówczas już na terenie Reichu:

Zbliżało się Boże Narodzenie. Postanowiłem wysłać do matki list z życzeniami świątecznymi i noworocznymi. Ala że się ukrywałem i w dodatku miałem nie najlepsze fałszywe dokumenty, co mogło w każdej chwili skończyć się fatalną „wpadką”, powstał problem z zaniesieniem listu na pocztę. Ponieważ nie było akurat chętnych, żeby mnie w tym wyręczyć, więc poszedłem sam.

Była godzina 17. Ciemno i mroźno. Drobno igiełki śniegu, gnane wiatrem, zacinały w twarz i ręce. […] Ostrożnie szedłem z ulicy Berka Joselewicza do głównej poczty. Doszedłem na miejsce szczęśliwie. Ale, gdy wrzuciłem już list do skrzynki, posłyszałem niemieckie: „Halt! Ausweis!”. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w kotle, z którego nie ma wyjścia…

Ludzie próbowali uciekać, ale zagradzały im drogę niemieckie kolby. Ja nie uciekałem. Przeciwnie. Skierowałem się ku ciężarówce czekającej na ofiary łapanki i dobrowolnie wszedłem do środka. Nikt mnie nie zatrzymał, nikt mnie nie legitymował. Dlaczego tak zrobiłem, nie potrafię do dzisiaj dać rozsądnej odpowiedzi?

Gdy ciężarówka zaczęła się wypełniać, dowiedziałem się od innych schwytanych, że zabrano im dokumenty. Pomyślałem, że moje położenie jest pomyślniejsze, bo dokumenty, - jakie by były - mam przy sobie. Gdy samochód został wypełniony, odwieziono nas pad

eskortą do Arbeitsamtu. Tam była już na placu znaczna liczba zatrzymanych kobiet, mężczyzn i dzieci. […]

Przez cały czas pilnie obserwowałem, co będzie się działo dalej. Spostrzegłem, że przez bramę wchodzą i wychodzą na zewnątrz jacyś cywile, którzy „hajlują", a wartownik oddaje im honory na baczność. Do głowy przyszła mi szaleńcza myśl... Jak w transie - wychodzę z szeregu i marszowym krokiem, wśród mundurowych i cywilnych Niemców otaczających tłum zatrzymanych, przechodzę wzdłuż szeregów. Nikt nie zwraca na to uwagi. Zachęca mnie to do dalszego działania. Kieruję się w stronę bramy. Staram się zachować pewność ruchów. Serce wali jak młot kowalski, nogi z każdym krokiem stają się coraz bardziej miękkie, a odległość do bramy ciągle duża! Wreszcie - jest brama... Wytrzymać napięcie... Nie zdradzać się! Jeszcze kilka sekund. Już!!!

„Hajluję" wartownikowi. Wartownik staje na baczność. Przepuszcza mnie na zewnątrz. Chcę przyspieszyć kroku, ale nogi - jak przyprawione... Boję się obejrzeć za siebie, zdaje mi się, że za chwilę padnie strzał i będzie koniec. Ale strzał nie pada […]

Było to 18 grudnia 1944 roku; na sześć dni przed Wigilią.

Opowieści ciągnęły się długo w noc, bo uczestników przyjęcia urodzinowego było kilkunastu, a każdy z nich chował w zanadrzu jakąś niezwykłą historie.

Taki kombatancki wieczór wspomnień nie byłby może specjalnym ewenementem, gdyby nie fakt, że jeden z jego uczestników spisał wówczas usłyszane przy stole opowieści. A następnie owe zapiski opracował i odbił na powielaczu. Że zaś znał się trochę na sztuce edytorskiej, powstała wykonana domowym sposobom niewielka książeczka, w nakładzie niespełna trzydziestu egzemplarzy. Każdy - przeznaczony dla uczestnika pamiętnego urodzinowego spotkania. Oraz dla najbliższych przyjaciół.

Książka - absolutny ewenement. Książka - swoisty „biały kruk". Na okładce widnieje tytuł: „Echa wojny - we wspomnieniach kombatantów". Na 87 stronicach zamieszczono 29 opowieści 13 współautorów książki. Tomik zadedykowano Tadeuszowi Szumańskiemu, jako dar urodzinowy.

Może przy dzisiejszych trudnościach wydawniczych „książki towarzyskie". takie jak tutaj opisana, zdołałyby jakoś wypełnić wciąż powiększającą się lukę w ocalaniu dla historii podobnych wojennych ludzkich przeżyć?

„Echa wojny" otrzymałem w „gwiazdkowym" prezencie od Tadeusza Szumańskiego. I na Boże Narodzenie roku 1988 chciałem podzielić się częścią ich unikalnej zawartości z czytelnikami.

Pierwodruk: „Kamena", 1988, nr 26 s. 1,10.